

Zwyciężyć znaczy przeżyć

Ćwierć wieku później



Aleksander Lwow

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dziękują autorom zdjęć za ich udostępnienie i zgodę na publikację.

Redaktor prowadzący: Ewelina Burska

Projekt okładki: Aleksander Lwow. Łamanie okładki ULABUKA

Projekt graficzny książki i łamanie: Aleksander Lwow

Fotografia na str. 2: Autor w Kazbegi (Gruzja), 14 czerwca 2014 r.

Fotografie zawarte w książce, a niepodpisane, są wykonane przez Autora. Fotografie o nieustalonym autorstwie pochodzą z archiwum GiA z lat 1995-2017

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

Telefony: +48 32 231 22 19, +48 32 230 98 63

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/bezcwp>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Adresy korespondencyjne Autora:

Aleksander Lwow, GiA, skr. poczt. 1030, 50-950 Wrocław 68

E-mail: gia@alpinizm.pl

Telefon: +48 602 349 074

ISBN: 978-83-283-3764-0

Copyright © Aleksander Lwow 2018

Printed in Poland

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Wróciłem do książki napisanej blisko ćwierć wieku temu z kilku powodów, ale najważniejszym ze wszystkich jest ten, że po ukazaniu się pierwszego i drugiego jej wydania otrzymałem od czytelników – osób zupełnie mi wcześniej nieznanych – kilkaset sympatycznych lub wręcz uroczych listów oraz e-maili z... podziękowaniami za „Zwyciężyć znaczy przeżyć”. Wydanie trzecie – „... 20 lat później” – zaowocowało już niemal wyłącznie korespondencją elektroniczną (ot! znak czasu), ale utrzymaną w podobnym, jakże miłym dla autora, tonie. To, że cały nakład trzeciego wydania zniknął z półek (w szerokim rozumieniu tego słowa) księgarskich, to też o czymś świadczy.

Oczywiście, miałem świadomość, że w takich przypadkach liczba tych, którzy napisali, w stosunku do tych, którzy chcieliby napisać, ale nie uczynili tego z różnych przyczyn – jest zawsze niewielka. Ale wiedziałem też, że Ci, którym książka ewentualnie się nie spodobała, raczej do autora nie pisują.

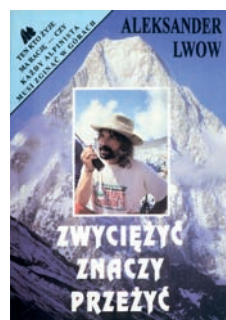
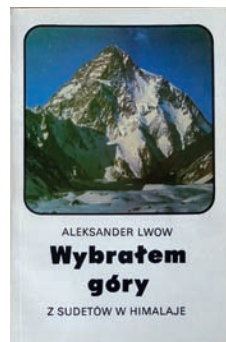
Na przestrzeni lat usłyszałem wiele ciepłych słów o tej książce od obcych ludzi przypadkowo spotykanych i zwracających się do mnie bezpośrednio podczas prelekcji, na szlaku w górach lub po prostu na ulicy. Zrozumiałem wtedy, że moja „męka twórcza” nie poszła na marne i że warto było trudzić się przez miesiące układaniem zdań na papierze (jak dawniej) i na ekranie komputera (jak obecnie). Przy okazji dowiadywałem się – nie bez zdumienia – jak wiele, jak wielu ludziom książka ta... coś wyjaśniła. I to cieszyło mnie zawsze najbardziej.

Nie zapominajcie, proszę, że generalnie jest to opowieść o dawno minionym, podkreślam – MINIONYM, czasie i – jakże często – o ludziach, których już dawno (ale i coraz częściej dopiero od niedawna) między nami nie ma. Przygotowując ją teraz po raz kolejny do wydania i uzupełniając niektóre jej fragmenty nowymi faktami, nie mogłem chwilami uwierzyć, że to czy tamto zdarzyło się 10, 20, a czasem nawet... 50 lat temu, i że ja to osobiście pamiętam. Przecież „ludzie tak długo nie żyją”!

Ale PESEL nie kłamie...

Wiem, że dzięki takim książkom jak ta, wspomniane w nich osoby – dla wielu z nas/Was kiedyś koleżanki lub koledzy, znajomi, partnerzy od liny i od kielicha, przyjaciele i bliscy – wciąż... żyją! Żyją w naszych umysłach, a czasem nawet i w sercach.

Aleksander Lwow
Chomiąza, grudzień 2017 roku



W 2013 roku, po tragedii **Maćka Berbeki** i **Tomka Kowalskiego** na Broad Peak, a później po śmierci **Artura Hajzera** na Gasherbrumie I, tytuł tej mojej książki – „Zwyciężyć znaczy przeżyć” – nabrał szczególnego wydźwięku i znaczenia. Nigdy wcześniej nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego jak dramat na BP, dokładnie 25 lat po naszej tam z **Maciejem** próbie, w ogóle może się zdarzyć. W tym niemal już przysłowiowym, wielokrotnie cytowanym przy różnych okazjach zdaniu o zwyciężaniu i przeżywaniu zawarta jest pewna metafora, a słów tych należy interpretować dosłownie.

Z lapidarnymi, skondensowanymi myślami-skrótami zawsze jest problem. Na przykład każdy przecież doskonale rozumie powiedzenie, że *lepiej być pięknym, młodym, zdrowym i bogatym niż odwrotnie*, a jednak użyte przeze mnie w wywiadzie udzielonym NEWSWEEKOWI już po śmierci **Berbeki** i wyeksponowane przez dziennikarza w tytule artykułu stwierdzenie, że gdyby mieć wybór, to *lepiej być Lwowem żywym niż Kukuczka umarłym*, wywołało – inspirowaną zresztą przez **Hajzera** – krótkotrwałą, wcale mi nie życzliwą burzę na forach internetowych. Widać było, że ludzie czytają bez zrozumienia tekstu, że nie każdy w ogóle rozumie, o czym mówię i co mam na myśli, i że literalne odczytywanie tego typu zdania powoduje zagubienie jego sensu.

Ogólnonarodowa dyskusja o zdarzeniach na Broad Peak przynosiła skrajne chwilami opinie. Niektórzy, zwłaszcza w środowisku zakopiańskim, doszukiwali się tam bohaterstwa i poświęcenia tych, co zginęli, skonfrontowanego z brakiem solidarności i ucieczką z miejsca tragedii tych, co przeżyli. Niepotrzebnie i najwyraźniej niezgodnie z rzeczywistością, **Maciej** był na tyle wielkim i doświadczonym alpinistą, że nie było potrzeby dobudowywania mu legendy związanej z rzekomo bohaterskim odwrotem z Broad Peak. Co dokładnie tam na górze się działo, tego nie wiemy i pewnie już nigdy się nie dowiemy. **Berbeka** należał, należy i będzie należeć do absolutnej *szpicy* polskiego i światowego himalaizmu. I to już w zupełności wystarczy dla dobrej o nim pamięci. Nie trzeba było dodawać do tego zwrotów, które pojawiały się w tabloidach, że np. wrócił, by ratować partnera, i z tego powodu zginął.

Śledziłem losy wyprawy w mediach od piątej rano feralnego dnia. Od pierwszej chwili gdy pojawiły się wiadomości o problemach z zejściem, wiedziałem, że rozgrywa się dramat. Rozumiałem to i czułem – w końcu ja tam kiedyś byłem, nawet w znacznie gorszych warunkach. Ale cały czas ufałem, że doświadczenie **Macieja** pozwoli mu pomału, bo pomału, ale jednak zejść. Tak jak to było 25 lat wcześniej, kiedy powrót do namiotu zajął mu 24 godziny. Później każda chwila przynosiła coraz gorsze infor-

macje i w pewnym momencie zrozumiałem, że tym razem struna została przeciągnięta.

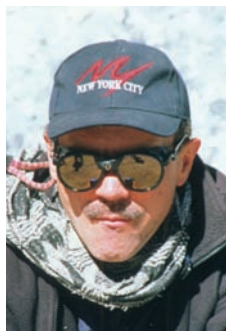
Ta tragedia stała się zaczynem dyskusji o całym projekcie PHZ (Polski Himalaizm Zimowy), a tu kontrowersji rysowało się wiele. Być może wynikało to z naszej narodowej cechy, która trwale dzieli Polaków na co najmniej dwa obozy całkowicie odmiennie postrzegające rzeczywistość. To widać było zawsze gołym okiem w polityce i prawdopodobnie przeniosło się także na inne dziedziny życia, w tym na alpinizm. Niestety, w dyskusjach internetowych najchętniej i najliczniej brali udział ludzie mający słabe pojęcie o himalaizmie albo nieumiejący czytać tekstów ze zrozumieniem, natomiast ci, którzy mogliby coś wartościowego do dyskusji wnieść, znali temat i mieliby ewentualnie jakąś ciekawą opinię, nie zabierali głosu – zazwyczaj z obawy, że zostaną obrzuceni błotem.

Zimowy himalaizm u nas rozwinął się tak pięknie dlatego, że my, Polacy, zaczęliśmy jeździć w góry najwyższe w momencie, gdy wszystkie ośmiotysięczniki były już zdobyte. Żeby dokonać czegoś więcej w sensie sportowym, tacy ludzie jak **Andrzej Zawada** – a w istocie głównie on – rzucili myśl, że skoro nie zdążyliśmy zdobyć dziewięciu ośmiotysięczników latem, to mamy szansę jeszcze się wykazać i dokonać czegoś wielkiego, zdobywając je zimą. To się zaczęło na początku lat 70., a pierwszym krokiem ku zimowemu Himalajom było zdobycie przez **Zawadę** i **Tadeusza Piotrowskiego** Noszaka w zimie 1973/74 roku. Kolejny krok to przedłużenie na okres zimowy wyprawy jesiennej na Lhotse w 1974 roku, tej, podczas której zginął operator filmowy **Staszek Latałło**. A później już było zdobywanie zimą Everestu, K2 i tak dalej, i tak dalej. Jak widać, ta idea się sprawdziła, bo Polacy całkowicie zdominowali zimowe zdobywanie Himalajów, zawłaszczając dla siebie aż dziesięć spośród wszystkich trzynastu dokonanych pierwszych wejść zimowych na ośmiotysięczniki.

W tamtym czasie miałem dwadzieścia kilka lat i wielkie sportowe ambicje. Oczywiście, można by naszej zimowej aktywności przypisywać różne górnołotne motywacje i znaczenia typu „wyprawa narodowa”, **Edward Gierek**, papież **Jan Paweł II**, my Polacy etc., ale przecież w rzeczywistości jeździliśmy wtedy w te góry po to, żeby dokonać sportowego wyczynu i tyle. A że odbijało się to potem szerokim echem w „komunistycznych” gazetach i „reżymowym” Dzienniku TV, to był tylko efekt uboczny – my w ogóle tego tak politycznie nie postrzegaliśmy. Sukces potrzebny był i ówczesnej władzy, i społeczeństwu, i nam samym. Rzeczywistość i realia były takie, jakie były, i nikomu do głowy nawet by nie przyszło, że może być inaczej. W latach 80. nie było „wolnych” ani prywatnych mediów i przede wszystkim nie było mediów elektronicznych,



Artur »Słoń« Hajzer
(*1965, †2016)
podczas festiwalu
„Wondol” w Szczyrku,
2 marca 2013 r.



Jerzy Natkański (*1954)
podczas zimowej
wyprawy na Makalu,
w styczniu 2001 r.
Fot. z arch. GiA.

w których współcześnie wszelkie górskie wydarzenia dzieją się na oczach widzów, *online*.

W himalaizmie sportowym aktywność zimowa jest jego najważniejszą składową. PHZ powstał między innymi po to, by wypełnić lukę pokoleniową, jaka w polskim środowisku alpinistycznym pojawiła się po „złoty” latach 80. Wprawdzie chętnych do wyjazdów w góry najwyższe, zwłaszcza sponsorowanych, zawsze było wielu, ale w pewnym okresie zabrakło w Polsce ludzi, którzy byli do tego predestynowani odpowiednim doświadczeniem alpinistycznym. Przyszedł taki moment, kiedy po pierwsze bardzo wielu wybitnych wspinaczy zginęło w górach, po drugie wielu wybitnych alpinistów się zestarzało, a po trzecie wreszcie, razem z transformacją zmieniły się realia ekonomiczno-społeczne w naszym kraju. Nagle oto młodzi ludzie przestali potrzebować alpinizmu do tego, by kanalizować swą aktywność, żeby w ogóle gdzieś wyjeżdżać. Mogli sobie jechać, gdzie chcieli i kiedy chcieli – paszporty mieli w kieszeni. Mogli rozkręcać biznesy i zarabiać pieniądze, mogli podróżować. Wszystko to razem spowodowało, że powstała owa pokoleniowa luka. Tymczasem ktoś, kto nie przeszedł wieloletniego cyklu „nauki” gór – przez skałki, Tatry, potem Tatry zimą, Alpy, Alpy zimą, Pamir, Hindukusz etc. – może mieć problemy z odnalezieniem się w trudnych i bardzo wysokich górach. I jeszcze jedno: napisałem kiedyś, że *himalaizm zimowy to sztuka bezsensownego cierpienia*. Obecnie, w XXI wieku, mało który alpinista ma ochotę cierpieć!

Jako pierwszy o odbudowę zimowej kadry himalajskiej zaapelował **Krzysztof Wielicki**, a potem próbował kontynuować to **Artur Hajzer** z pomocą PHZ. Oczywiście, takie apele i projekty były potrzebne. Zasadniczo nie miałem nic przeciwko idei Polskiego Himalaizmu Zimowego, choć niektórzy sądzili, że byłem jej przeciwny. Nieprawda! Uważałem jednak, że można by to robić inaczej, gdyż działalność niektórych wypraw PHZ nie miała cech sportowych. Tak oceniałem np. ekspedycję na Dhaulagiri w 2013 roku (wyprawa pod kierunkiem **Jerzego Natkańskiego**), na którą pojechało kilkoro doświadczonych himalaistów zbierających sobie szczyty „8000” do prywatnych „kolekcji” i zaledwie trzech „młodych”, czyli że zachwiane zostały właściwe proporcje w składzie. W dodatku pojechali na drogę „normalną”, obchodzoną i wydeptaną, ale za to na lewo i na prawo podkreślając, że nie będą używać tlenu. A przecież byłoby czystym *obciachem*, gdyby po tylu latach i sukcesach naszego himalaizmu mieli go wtedy używać. Korzystanie z tlenu, z pomocy Sierpów czy robienie wyprawy w stylu obłączniczym już od dawna traktowane było jako zachowanie niesportowe, zwłaszcza na górze, która w poprzednich dekadach była świadkiem znakomitych dokonań Polaków – **Kurtyki**, **Wielickiego**,

Czoka, Kukuczki, Wilczyńskiego... Ponadto, po sporej już wówczas liczbie wcześniejszych innych wypraw PHZ zaczęto w środowisku formułować oceny, a te nie mogły być najlepsze – wydarzyło się zbyt wiele złego... Coś było nie tak. Ciężkie odmrożenia dwóch wspinaczy podczas jesiennej wyprawy na Makalu w 2011 roku, gdzie w ogóle omal nie doszło do tragedii. Potem jakieś „dziwne” nocne ataki na szczyt Lhotse i śmierć Szerpy na wyprawie w 2012 roku. Zupełna porażka na Manaslu w maju 2012 roku, choć w tym samym czasie inne nacje zdobyły szczyt. Wreszcie katastrofa na Broad Peak, zaraz potem „komercyjne” w stylu Dhaulagiri i... – ponure *finale grande* – śmierć samego szefa i twórcy PHZ na Gasherbrumie I w lipcu 2013 roku. Gwóźdź do trumny całego projektu, całego pomysłu, całego przedsięwzięcia.

Po budzących szczególnie kontrowersje zdarzeniach na Broad Peak Polski Związek Alpinizmu na wniosek **Krzysztofa Wielickiego** i **Artura Hajzera** powołał specjalną komisję w celu zbadania sprawy. W jej skład weszli **Piotr Pustelnik**, jako przewodniczący, **Anna Czerwińska**, **Bogdan Jankowski**, **Michał Kochańczyk** i **Roman Mazik**. Ja sam od początku byłem do tej inicjatywy nastawiony sceptycznie, uważając, że komisja niczego nowego nie ustali, bo właściwie wszystko wiadomo, że nie odpowie na żadne z pytań, jakie się wówczas nasuwały, i że w gruncie rzeczy jest po to, by zaspokoić apetyt mediów. Pamiętałem bowiem, iż także po naszym z **Maciejem** Broad Peak 25 lat wcześniej „komisja” PZA dopiero po czterech miesiącach od zakończenia wyprawy, niby na podstawie „analizy” zdjęć, doszła do „wniosku”, że **Maciej Berbeka** jednak nie stanął na szczycie, lecz na przedwierzchołku, choć już w tym samym czasie w bazie, i naturalnie później po powrocie wyprawy do kraju, wszyscy jej uczestnicy – z wyjątkiem **Berbeki** – doskonale o tym wiedzieli. Nie sądziłem więc, że teraz powołana komisja mogłaby coś nowego ustalić na podstawie nagrań lub zeznań.

Komisja „pracowała” przez długie miesiące, nie wiadomo dlaczego przeciągając zakończenie prac w nieskończoność i dając tym samym powód do rozkwitu plotek i bzdurnych domysłów na forach internetowych. W końcu swój raport złożyła na ręce zarządu PZA, ale jego brzmienie nie zostało upublicznione pod pretekstem, że trzeba najpierw poczekać na efekty działania wyprawy **Jacka Berbeki**, brata **Maćka**, który razem z **Jacikiem Jawieniem** i **Krzysztofem Tarasewiczem** udał się w czerwcu 2013 roku na Broad Peak, aby odnaleźć i „godnie pochować” ciała obu naszych himalaistów. Ostatecznie udało się im dotrzeć tylko do zwłok **Tomka Kowalskiego**, które dosłownie tarasowały szlak wejściowy na Rocky Summit (8030 m), i ogromnym wysiłkiem przemieścić je na tyle, że już więcej nie



Tomasz Kowalski
(*1985, †2013)
w obozie na Piku Korzeniowskiej, 29 lipca 2011 r.
oraz
na wysokości 7600 m
na zboczach Broad Peaku, 18 lutego 2013 r.
Fot. z arch.
Agnieszki Korpala.

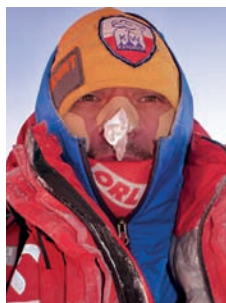
Krzysztof Tarasewicz
podczas wyprawy
na Denali.
6 maja 2005 r.





Tomasz Mackiewicz (*1975)
i Marek Klonowski (*1979)
w schronisku „Jagodna”
w Spalonej,
28 kwietnia 2013 r.
Mackiewicz atakował w zimie Nanga Parbat 7 razy,
25 stycznia 2018 r. zdobył szczyt razem z Francuzką
Elisabeth Revol (*1980),
ale zmarł podczas zejścia
na wysokości ok. 7200 m.

Artur Małek (*1979)
na szczycie Broad Peak,
5 marca 2013 r.
Fot. z arch. A. M.



będą niepokojone przez kolejnych zdobywców Broad Peak. Ale nawet powrót ekspedycji **Berbeki** do kraju nie spowodował ujawnienia wniosków komisji, tym razem zapewne z powodu... wakacji.

Odwiecznym problemem PZA było to, że zawsze rządziło tam jakieś lobby. Kiedyś było to lobby instruktorów – w latach 90. ostro zwalczane przez moją gazetę *GÓRY* i *ALPINIZM* – a później, w okresie, o którym teraz piszę, było to – nazwijmy je umownie – lobby PHZ. Ponieważ pieniędzy w związku nigdy nie było, nie ma i nie będzie za dużo, to naturalne jest, że owe lobby działają na swoją korzyść, co też było, jest i będzie. Niektórzy ludzie robili w górach swoje, choć PZA im w ogóle nie pomagało. Żeby nie być gołosłownym, mogę przypomnieć, że z czterech zdobytych przeze mnie ośmiotysięczników dwa zaliczyłem bez zezwolenia, ponieważ nie mieliśmy pieniędzy na opłaty tzw. *royalty*. A PZA nam tych pieniędzy dać nie chciało. Razem z moim partnerem **Tadeuszem Karolczakiem** działaliśmy nielegalnie nie dlatego, że mieliśmy taki kaprys, tylko dlatego, że po prostu na legalne nie było nas stać. Z kolei w tym samym czasie co medialnie nadmuchany PHZ na innych szczytach, na Nanga Parbat – najzupełniej „prywatnie” i bez jakiegokolwiek wsparcia ze strony PZA – działało dwóch „szalonych” prawie nieznanymi gości, **Tomasz Mackiewicz** i **Marek Klonowski**, osiągając zdumiewająco wiele jak na to, co można by o nich sądzić *po znamionach zewnętrznych*. Gdy wcześniej zwrócili się do szefa PHZ o jakieś wsparcie, zostali wyśmiani.

Tragedie roku 2013 postawiły pod wielkim znakiem zapytania całą sportową przyszłość polskiego himalaizmu, nie tylko zresztą zimowego. Tymczasem zdobycie po raz pierwszy w zimie Gasherbrumu I przez **Adama Bieleckiego** i **Janusza Gołębia** (3 marca 2012 r.) oraz pierwsze zimowe wejście na Broad Peak dokonane przez **Adama Bieleckiego**, **Artura Małka**, **Tomasza Kowalskiego** i **Macieja Berbeke** (6 marca 2013 r.) sprawiły, że spośród wszystkich czterestu szczytów Korony Himalajów do pokonania w zimie zostały jeszcze tylko K2 i Nanga Parbat.

W tym momencie cały wysiłek światowego himalaizmu sportowego skupił się na Nandze. Bo to góra znacznie bliższa (*rzut beretem* od szczytu) i tańsza, niż K2. No i wyraźnie niższa, choć ogrom jej ścian nie ma sobie równych. Było jasne: ów „światowy sportowy himalaizm”, to zaledwie kilkanaście, góra kilkadziesiąt osób kilku nacji. W drugiej dekadzie XXI wieku już mało kto miał ochotę solidnie marznąć i sporo ryzykować w górach. W niemal zmasowanym zimowym ataku na Nangę w sezonach 2013/14, 2014/15 i 2015/16 brali także udział Polacy, z niezamordowanym **Mackiewiczem** na czele, ale ostateczne zwycięstwo przypadło w udziale innym. Dwudziestego szóstego lutego 2016 roku pierwszego zimowego wej-

ścia na Nanga Parbat dokonali Włoch **Simone Moro** (*1967), Bask **Alex Txikon** i Pakistańczyk **Ali Sadpara**. Biorąca udział w ataku szczytowym krzepka dziewczyna z Tyrolu, Włoszka **Tamara Lunger** dotarła w pobliże wierzchołka, do 8025 metrów. Naprawdę niewiele brakowało, by stała się pierwszą kobietą z zimowym ośmiotysięcznikiem na koncie.

Niestety, dwa i pół roku wcześniej doszło pod Nangą do bezprecedensowej tragedii. W nocy z 22 na 23 czerwca 2013 roku baza została zaatakowana przez uzbrojonych ludzi podających się za Talibów, którzy zamordowali 11 znajdujących się tam akurat osób. Alpinisci przebywający w tym czasie w górnych obozach, cudem otrzymali drugie życie. W POSŁOWIU jeszcze wrócę do tego wydarzenia, gdyż czegoś takiego dotąd w górach nie było...

Z kolei K2, to zastarzały problem nie tylko dla Polaków, ale w ogóle dla całego alpinistycznego świata. Szansa wejścia tam zimą jest generalnie mała. Dla nas, zaraz po upadku projektu PHZ – była żadna! Nie mieliśmy „armat”. Trzeba by jednocześnie mieć dobry zespół wspinaczy tej klasy co **Simone Moro** i **Denis Urubko** (*1979) razy 3 lub 4 (6–8 ludzi) albo takich, jakimi byli **Krzysztof Wielicki** czy **Maciej Berbeka** 25-30 lat wcześniej, również razy 3 lub 4, a do tego należałoby znaleźć odpowiednie fundusze, co akurat wydawało się być łatwiejsze niż skompletowanie składu. Na koniec trzeba by też trafić na idealną pogodę, taką, jaką w 2013 roku chłopcy mieli na Broad Peak. Wówczas mogłaby K2 wreszcie kiedyś *paść*.

Pisząc o „upadku projektu PHZ” mam na myśli sytuację, jaka wytworzyła się – w sferze symbolicznej – po niespodziewanej śmierci **Hajzera**. Pałeczkę po **Arturze** podjął jego najbliższy przyjaciel i partner biznesowy **Janusz Majer**, bardzo doświadczony organizator i kierownik wielu wypraw. W latach 2015-2017 starał się doprowadzić do skutku kolejną polską próbę zimowego wejścia na K2. W ramach PZA stopniowo odbudowywano *bazę ludzką* (fascynuje mnie polska nowomowa!), czyli mówiąc wprost – team względnie młodych chłopaków zdolnych do udziału w takiej wyprawie, no i oczywiście zabiegano o pieniądze. Naturalnym liderem takiej ekspedycji był **Krzysztof Wielicki**. Jednak projekt planowany na zimę 2016/17 upadł z braku *kasy*, a to, czy uda się wyjechać rok później, pozostawało niepewne do końca.



Od lewej: Alex Txikon, Tamara Lunger, Simone Moro i Ali Sadpara w bazie po powrocie ze szczytu Nanga Parbat. Luty 2016 r. Fot. z arch. GIA.

Janusz Majer (*1946) podczas zjazdu PZA w Spale, 7 czerwca 2013 r.



Sporo lat mieszkałem w śmierzącym zsypani na śmiecie bloku „mrówkowcu”: jedenaście poziomów, dziesięć klatek schodowych, trzy mieszkania na piętrze. Z sąsiadami (poza najbliższymi) prawie nie rozmawiałem, nie wiedziałem, kto gdzie mieszka i – tym bardziej – jak się nazywa. Była to najzupełniej świadoma, celowo pielęgnowana samotność w tłumie. Sądziłem naiwnie, iż relacja ta jest zwrotna.

Kiedyś zaczął mi przeciekać kaloryfer. Z ADM przyszedł pan majster i milcząco robił swoje. Ożywił się tylko na moment:

– Najlepsza podkładka – powiedział, wyciągając ku mnie dwudziestogroszówkę, i dodał: – Co jakiś czas znajoma w banku wymienia mi ich cały woreczek.

Więcej się już nie odezwał. Włożył monetę pod muterkę, dokręcił, zebrał narzędzia i ruszył do wyjścia. Przed drzwiami zatrzymał się nagle, odwrócił na pięcie i bez wstępu wypalił:

– No to niech pan powie, jak tam jest w tych górach!

Zaskoczył mnie zupełnie. Z wrażenia zaniemówiłem. Skądś wiedział, że jestem „znanym” alpinistą.

Książka, którą trzymacie w rękach, powstała na takiej właśnie zasadzie: niech pan powie, jak tam jest w tych górach.

Więc siedliśmy sobie z zimnym piwem w garści i ja Wam opowiadam. Pozornie chaotycznie, ale próbując zachować jakąś tam chronologię, przeskakując z tematu na temat w pogoni za umykającymi myślami i skojarzeniami.

To nie jest książka o *łojeniu* ani o żadnej jednej konkretnej wyprawie. Mało się w niej wspinał, prawie nie „szukam chwytów”, rzadko „stoję na obłych stopieńkach” i tylko czasem „zasypują mnie pyłówki”.

Staram się nie zakładać baz, obozów ani nie rozwieszać poręczówek, choć niezupełnie mi się to udaje. Książki alpinistyczne aż roją się od takich tasiemcowych opisów, a ja w dodatku mało co z moich wspinaczek pamiętam. Wystarczy, że (na szczęście!) mam obszerne notatki.

Piszę o tym, co na przestrzeni prawie pięćdziesięciu lat mojego alpinistycznego życia utkwilo mi w pamięci na zawsze. Dlatego jest w niej tak wiele o ludziach i przemijaniu. A że nie są to wyłącznie epizody, myśli czy uwagi

Blok „mrówkowiec”
na wrocławskim
osiedlu Popowice,
13 lipca 2017 r.



ściśle związane z górami? Cóż, góry płaczą się z życiem, życie z miłością, miłość ze śmiercią, śmierć z polityką, a polityka z górami. Albo wszystko ze wszystkim. Mandala? Koło? Zakłęty krąg? A może chaos?

To chyba nie jest również książka dla alpinistów, gdyż wszystko, o czym piszę, może im się wydać znane, trywialne lub oczywiste, a z tego powodu po prostu nudne. Napisałem ją z myślą o wszystkich tych, z którymi spotykałem się na przestrzeni lat, podczas dziesiątek spotkań „z żywym alpinistą”. Wciąż dźwięczy mi w uszach ich natarczywe:

– Niech pan powie...

Ci ludzie nigdy nie byli i nigdy nie będą alpinistami, ba! – większość z nich nigdy nie była w górach wyższych niż Karkonosze i nigdy nie spędziła nocy pod gwiazdami. A jednak ekscytują się alpinizmem, podziwiają himalaistów i na swój sposób szczerze kochają góry. I chcą wiedzieć wszystko na ten temat – jak wygląda wierzchołek i jak się sika na mrozie, jak można wbić hak w skałę, choć taka twarda, i jak wysoko można jeszcze kochać się z kobietą. Po prostu wszystko.

W zasadzie, z pewnego (alpinistycznego?) punktu widzenia, może wydawać się mało ważne to, co robiłem w dzieciństwie, do jakich szkół chodziłem, co myślę o tym i owym, kto to był X i kim była Y, skoro na Kazalnicy nie zdążyli niczego *wkosić*, a nawet wszystko to, co poza wspinaniem wyprawialiśmy w Morskim Oku i w górach. Sądzę jednak, że na pewien sposób właśnie to jest ważne. Ważniejsze niż ponure *tojenie*.

Drogi, ściany i szczyty – im jest ich więcej, tym bardziej się zacierają we wspomnieniach, nakładają na siebie. Chwyty, stopnie, zacięcia, kominy, przewieszki – OK, ale gdzie, na jakiej drodze, kiedy? Prawie nie pamiętam.

Nie myślą mi się tylko twarze, choć już często – niestety – zapominam imiona/nazwiska. Twarze ludzi, z którymi się wspinałem, z którymi harowałem w górach i schroniskach, lub choćby w tychże górach i schroniskach spotykałem się, a którzy tym różnią się ode mnie, że albo już w górach zostali na zawsze, bo mieli mniej szczęścia niż ja, albo z różnych, najbardziej prozaicznych przyczyn (choroba, wypadek, samobójstwo) przedwcześnie odeszli z tego świata.

Te twarze na zawsze zakodowały się w mojej pamięci jednym z obrazów z przeszłości. Jakąś facecją, *jajem*, czynem heroicznym lub tchórzliwym, górskim sukcesem albo porażką – obojętne czym. I choć pozornie opisuję siebie, choć to ja opowiadam, widząc wszystko moimi oczyma i przez pryzmat moich własnych wspomnień, to jest to książka o nich.

Dla nich...

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

Ludzie i góry...

Pierwszą wersję tej książki Aleksander Lwow, jeden z najwybitniejszych polskich himalaistów i alpinistów, napisał dwadzieścia pięć lat temu. Z czasem stała się ona klasykiem gatunku. Pisał ją nie dla kolegów wspinaczy i alpinistów, pisał dla „miłośników gór” – tych, co najpewniej nigdy nie spędzą nocy w namiocie szarpanym przez mroźny wiatr ani nie będą szturmować himalajskich olbrzymów. Pisał dla zwykłych ludzi, którzy kochają góry i podziwiają zdobywających je „wojowników”.

Zwyciężyć znaczy przeżyć... to przede wszystkim książka o ludziach gór. Snując swą wysokogórską opowieść, Aleksander Lwow do minimum ogranicza opisy karawan, zakładania baz, budowania obozów wysokościowych i rozwieszania poręczówek. Píše o przyjaciółach, znajomych i partnerach, wspomina najsławniejszych alpinistów i himalaistów – jakże często już nieżyjących. Na kartach jego książki ludzie ci ożywają, wspinają się lub bawią. Aktualne wydanie książki wzbogacone zostało o opisy zdarzeń ze świata ludzi gór z ostatnich dwudziestu pięciu lat i o komentarze do wielu z nich.

Nie mylą mi się tylko twarze. Twarze ludzi, z którymi się wspinałem, z którymi harcowałem w górach i schroniskach lub choćby w tychże górach i schroniskach się spotykałem, a którzy tym różnią się ode mnie, że albo już w górach zostali na zawsze, bo mieli mniej szczęścia niż ja, albo z różnych, najbardziej prozaicznych przyczyn (choroba, wypadek, samobójstwo) przedwcześnie odeszli z tego świata. To jest książka o nich.

Autor

PATRONI MEDIALNI:



GÓRY GÓRSKI
MAGAZYN
SPORTOWY
GORYONLINE.COM

Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

 **Bezdroża**

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
● <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
● <http://bezdroza.pl/newsletter>

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-3764-0



Cena 54,90 zł